

Z NASZEJ PRZESZŁOŚCI

Jan L. Kochanowski
MÓJ LIPIEC 1944

Zaczął się on dla mnie raczej pechowo. W pierwszych dniach lipca zdawałem egzamin z fizyki i chemii przed komisją na tajnych kompletach u sióstr Urszulanek w Lublinie. Przez fizykę jakoś się „przechołgałem”, ale na chemii sromotnie „wpadłem”. Stawka była wysoka – końcowy egzamin gimnazjalny, potocznie zwany wówczas małą maturą. Byłem głęboko przekonany, że komisja wykazała wobec mnie zbyt mało pobłażania. Natomiast więcej zrozumienia okazała mojej mamie i na jej prośby zgodziła się wyjątkowo na poprawkę poprawki a nawet doradziła wymagającego korepetytora. W rezultacie, zamiast powrotu do naszego Łopienika, zapadła bezdyskusyjna decyzja rodziców, że na czas pobierania chemicznych korepetycji zostanie „zesłany” do podlubelskiego Dominowa.

Dla porządku wyjaśnię, że podczas okupacji mnie i moją siostrę Izabellę uczyła w Łopienniku kuzynka Ryta Chałupczyńska, maturzystka z 1939 roku renomo-



Autor na kucu Kubie – lipiec 1938 r.

wanego liceum Gepnerówny w Warszawie. Rokrocznie, jako eksterni składaliśmy później egzaminy na wspomnianych kompletach i miałem zawsze bardzo dobre oceny. W 1944 nie nauka była mi w głowie.

W drugiej połowie 1943 roku Niemcy brali tęgie lanie na wszystkich frontach, a sowieci podchodzili już pod naszą granicę z 1939 roku – koniec wojny był tylko kwestią czasu. Wychowany na *Trylogii*, *Po piołach*, *Huraganie* i patriotycznych tradycjach rodzinnych, zacząłem poważnie obawiać się, że wojna zakończy się bez mojego udziału. Domyślałem się, że większość dorosłych mieszkańców naszego dworu z ojcem na czele i włącznie ze starszą ode mnie o dwa lata siostrą, zaangażowanych jest w konspiracji. Zazdrościłem warszawskim kuzynom, Jędrkowi i Staszкови Gumowski, moim rówieśnikom. Byli u nas podczas wakacji w 1943 roku, opowiadali bezosobowo o różnych brawurowych wyczynach „Szarych Szeregów”, a ja domyślałem się, że tkwili w nich po uszy. Obaj zginęli w kanałach podczas ewakuacji Starówki. No cóż – Warszawa to nie nasz zabity deskami Łopiennik, gdzie Niemcy pokazywali się za ledwie kilka razy w roku. Uzupełniały ich wprawdzie w jakimś stopniu nawiedzające nas nader często różnej maści bandziory, ale to nie było to.

Tradycji niepodległościowych w rodzinie nie brakowało; antenaci uczestniczyli we wszystkich narodowych zrywach od Insurrekcji Kościuszkowskiej poczynając. Ojciec i stryj byli ochotnikami 1918-1920. To właśnie po stryju Janie, ułanie ostat-

niego prywatnego oddziału kawalerii – słynnej „Jazdy Jaworskiego” – nosiłem imię. Drugie imię miałem po pradziadku po kądzieli Lucjanie Berezowskim – powstańcu styczniowym, który w 1863 roku jako siedemnastolatek uciekł z gimnazjum we Lwowie i przez zieloną granicę dołączył do powstańczej partii. Ciężko ranny w potyczce dogorywał na pobojuwisku – uratowała go złota dewizka od zegarka. Błyszczała widocznie z daleka, bo zauważył ją miejscowy parobek, który pokonując strach przed kręcącymi się w pobliżu Kozakami, podczołgał się i szarpnął dewizką. Ocuciło to na moment pradziadka. Amator dewizki okazał się dobrym patriotą, zawiadomił okolicznych ziemian i po zapadnięciu zmroku, pomógł przewieźć rannego do pobliskiego dworu. Troskliwa opieka sprawiła, że jakoś wyliżał się z ran.

Byłem nietypowym ziemiańskim synem, nie przepadałem za konną jazdą, nie miałem też złotej dewizki. Uważałem jednak, że walczyć można będzie przecież pieszo, a moje oba imiona do tego zobowiązywały i dlatego postanowiłem na ten temat porozmawiać z ojcem. Nadarzyła się ku temu okazja. Pewnej nocy 1943 roku, obudził nas warkot silników krążącego nisko samolotu, inny od dobrze znanego warkotu junkersów, dornierów i heinkli. Nie mieliśmy wątpliwości, że gdzieś w pobliżu Zosinka lub Grondów odbywał się aliancki zrzut. Nasze przypuszczenia potwierdziła wizyta jednego z oddziałów osłonowych, który został podjęty we dworze podkurkiem, lub jak kto woli, bardzo wczesnym śniadaniem. Następnego dnia widząc ojca w dobrym nastroju, prosto z mostu poprosiłem, aby ułatwił mi wstąpienie do AK. Ojciec wylał mi na głowę wiadro zimnej wody. Dowiedziałem się, że takich żółtodziobów jak ja jeszcze do AK nie przyjmują, a jeżeli chcę coś dla Ojczyzny zrobić pożytecznego, to mam się

pilnie uczyć, bo po wojnie będzie potrzeba wielu wykształconych ludzi.

Mimo ojcowskiego wiadra zimnej wody, zamiar zostania partyzantem nadal nie dawał mi spokoju i drażył świadomość, żadne jednak sensowne rozwiązanie nie trafiało do głowy. Kilka miesięcy po wspomnianej rozmowie rozwiązanie przyszło samo. Łopienniccy pracownicy majątku organizowali konspiracyjną placówkę Batalionów Chłopskich. Przyjaźniłem się z dworskim kowalem Michałem Mrokiem i fornalem Szczepanem Stolarskim, obaj walczyli w 1939 roku, byli inicjatorami i organizatorami konspiracji i przyszłymi dowódcami; pierwszy komendantem placówki a drugi jego zastępcą. Uczestniczyłem we wszystkich działaniach organizacyjnych i noca, chyba 11 grudnia 1943 roku, z podniesionymi do góry dwoma palcami prawej ręki, wraz z kilkunastu innymi wymówiłem rotę bechowskiej przysięgi. Odbierał ją „Kruk” (Ryszard Dzikowski) dzielny komendant placówki BCh w pobliskim Zosinku. Przysięga odbyła się w uroczystej scenerii w mieszkaniu Mroków. Na stole przykrytym białym obrusem stał z jednej strony krucyfiks z drugiej sowiecki rkm Diechtiarowa.

Nasza placówka otrzymała kryptonim „Jabłoń” i została podporządkowana obwodowi lub rejonowi BCh „Chata”, którego komendantem był kpt. „Ostroga” (Józef Gołąb) ze Skrzyńca – aresztowany później przez sowietów przepadł bez śladu. Zaczęliśmy obierać sobie konspiracyjne pseudonimy; Mrok został „Jabłkiem”, Stolarski wybrał również owocowe pseudo „Grusza”, a ja zamierzałem zostać „Bujnym” – co było ongiś rodowym rycerskim zawołaniem Korwinów-Kochanowskich. Ku memu zmartwieniu, jeden z własnie zaprzysiężonych bechowców o wyjątkowo bujnej czuprynie, już wcześniej wybrał moje pseudo. „Kruk” doradzał, abym został „Bujnym II”, jednak to mi nie

konweniowało i naprędce wymyśliłem „Orkana”. Właśnie z polskiego przerabiałem Władysława Orkana i pomyślałem, że będzie i wietrznie, i na ludowo, i tak już zostało. Nie przewidywałem, że większość konspiracyjnych kolegów będzie nazywać mnie „Organem”, a niektórzy nawet dociekać, o który organ konkretnie chodzi. Szczęśliwie nikogo nie interesował mój wiek. Bałem się tego, a zapytany postanowiłem kłamać, że niezadługo kończę 18 lat. Byłem wprawdzie jeszcze gołowąsem, ale fizycznie dobrze rozwiniętym i zapewne wyglądałem na nieco starszego, niż byłem w rzeczywistości.

I tak stałem się żołnierzem BCh bez stopnia i podwójnym konspiratorem – zarówno wobec okupantów jak i wobec własnego ojca. Przyznam, że na tym etapie nie interesowały mnie zupełnie polityczne aspekty mojej przynależności. Liczyła się jedynie możliwość walki z okupantem. Zresztą na gruncie placówki, zaledwie przebąkiwało się o czekających po wojnie przemianach społecznych.

Zanim jednak wrócę do lipcowej „zsyłki” w Dominowie, dodam, że kilka dni po przysiędze ojciec wezwał mnie do kancelarii, gdzie zwykle odbywały się wszelkie „zasadnicze” rozmowy. Nogi ugięły się pode mną, gdy zobaczyłem tam swojego komendanta. Już widziałem siebie wydalanego z placówki z uwagi na smarkaty wiek. Nie doceniłem jednak mojego kochanego ojca, który wyraził zadowolenie z powstania placówki, wyasygnował 10.000 młynarek na jej dozbrojenie i polecił mi opiece komendanta. Byłem cały w skowronkach, nie dość, że miałem ojcowskie „placet” na partyzantkę, ale jeszcze nasza placówka zyskała pieniądze wsparcie na tak potrzebną broń. Po tym przydługim wstępie wracam do wspomnianego „zesłania”.

Dominów leżący dziś w granicach wielkiego Lublina, był wówczas majątkiem ziem-

skim p. Śląskich, którym administrował dublańczyk – wuj Władysław Berezowski. Stamtąd, codziennie rano zabierałem się z mleczarkiem do Głuska i dalej, przeważnie już pieszo, maszerowałem na Głowackiego, ulicę leżącą dokładnie na przeciwnym krańcu miasta. Po kilku godzinach korepetycji obejmujących również zajęcia laboratoryjne, jadłem u Zytek obiad i nie spiesząc się wracałem do Dominowa.

Ostatni odcinek codziennej trasy przylegał prawie do granic obozu w Majdanku. Ze ściśniętym sercem spoglądałem na pole tragicznej kapusty wyrosłej bujnie na ludzkich popiołach i widziałem jak z krematoryjnego komina wydobywał się nieprzerwanie czarny, jak gdyby tłusty dym, czasami do moich uszów dochodziły nawet wrzaski kapów. Dominowskie pola graniczyły nieomal z obozem, stąd przy określonym kierunku wiatru zapach palonych ciał – dla mnie nieprzywykłego, był w Dominowie nie do zniesienia. Na szczęście były też widoki bardziej optymistyczne. Były to przybywające nie tylko na obrzeżu miasta zasieki, bunkry i pola minowe oznakowane żółtymi proporczykami z trupią czaszką. Jedni Niemcy szykowali się do obrony miasta, inni pakowali na ciężarówki manatki i wywozili je. Któregoś dnia ogólną radość przechodniów, a pośród nich i mnie, sprawił widok ogromnych przyczep wypełnianych jakimiś skrzyniami „Pod Zegarem” (siedziba Gestapo).

Warunki do nauki w Dominowie były marne. Obszerny pałac zajmowali głównie hałaśliwi lotnicy niemieccy z lotniska w Świdniku i ich żony, albo panie do towarzystwa. Pełno było ich też w pięknym parku, w którym nocą, nie bacząc na godzinę policyjną ukazywała się jakoby „biała dama” ze znajdującego się w pałacu starego portretu. Nastawione na cały regulator niemieckie gramofony „do opo-

ru” powtarzały skądinąd miłą uszom żołnierską piosenką „Lili Marlen”, którą wkrótce znienawidziłem. Wujostwo zajmowali w pałacu dwa pokoje, a mali siostrzeńcy łazili dosłownie po głowie i ciągle chcieli się bawić ze swoim wujecznym braciszkiem. Dopiero, gdy wszyscy posnęli, przeglądałem w kuchni notatki. Noce były niespokojne, bo regularnie odwiedzał okolicę latający na niskim pułapie sowiecki kukuruźnik, a stojący w parku „flak” (niemiecka artyleria przeciwlotnicza) nie żałowała mu niecelnych pocisków. Rozbudzony, myślami byłem przy łopiennickiej placówce BCh i zastanawiałem się, jakie będą konsekwencje zapowiadanego od pewnego czasu scalenia z AK. Wszyscy bechowcy po wojsku mieli jakoby przejść do PKB (Państwowy Korpus Bezpieczeństwa), a pozostali, czyli i ja, do SS (Służba Samorządowa). Ta ostatnia miała zostać odpowiednikiem policji. Zastanawiałem się więc co robić, aby w przyszłości nie zostać przypadkiem „granatowym”, a więc w międzyczasie tęskniłem za „towarzyszami broni” i działaniami konspiracyjnymi; całonocnymi wartami, które pełniliśmy już od maja, musztrą, bronią, odprawami, prasą podziemną itd.

Około 20 lipca korepetytor powiadomił mnie, że za kilka dni odbędzie się komisyjny sprawdzian końcowy. Te „za kilka dni” stały się niespodzianie dniem następnym, a komisję reprezentował jednoosobowo sam korepetytor. Mimo pewnego zaskoczenia sprawdzian wypadł dobrze, ale sądzę, że również dlatego, że w nader eleganckiej willi korepetytora brzęczały już szyby od wybuchów artylerii – zapewne sowieckiej.

Teraz jak najszybciej musiałem wrócić do Łopiennika. Pędem pobiegłem na pocztę i zatelefonowałem, aby pilnie przysłano po mnie bryczkę. Bałem się bardzo, że mogę zostać przez zbliżający się front,

odcięty od domu i placówki. Bryczka nadjechała przed samą godziną policyjną i tego dnia nie można było już wracać. Następnego dnia wyruszyliśmy skoro świt. Sytuacja na froncie musiała być groźna, bo wśród Niemców, zwłaszcza cywilnych, zapanował widoczny popłoch. Nas czekała natomiast niemiła niespodzianka, szosy kraśnicka i warszawska zostały zamknięte dla ruchu cywilnego. Po naradzie z innymi znajdującymi się w podobnej sytuacji, postanowiliśmy zrobić dość daleki objazd przez Głusk, Żabią Wolę i „forsować” kraśnicką koło Strzeszkowic. W najgorszym wypadku mieliśmy bryczkę zostawić gdzieś u chłopów i przedostać się przez szosę pieszo. Jadąc przez podlubelskie lasy, byliśmy ciągle zatrzymywani i legitymowani przez partyzantów z oddziałów AK koncentrujących się już w ramach akcji „Burza”.

Widok szosy kraśnickiej koło Strzeszkowic był wyjątkowo „malowniczy”, ale dla nas niepokojący. W kierunku Wisły pełzła nią jakby jedna wielka gąsienica – trzy rzędy niemieckich wojskowych samochodów i pojazdów konnych, a dodatkowo prawym poboczem; czołgi, transportery i działa samobieżne. Napawałem się tym widokiem, a równocześnie podziwiałem u Niemców wzorowy porządek, dyscyplinę i brak objawów paniki. Widać było, że w cofaniu się mają już dużą wprawę. Szosę patrolował latający tam i z powrotem samolot z węgierskimi znakami rozpoznawczymi pamiętający zapewne jeszcze czasy CK. Pomyślałem sobie – gdzie się podziewa teraz radzieckie lotnictwo? Okazało się później, że właśnie było zajęte tropieniem rozproszonych oddziałów 27 (wołyńskiej) dywizji AK, która z za Buga przedarła się na Lubelszczyznę. Po dobrej godzinie nerwowego wyczekiwania, w cieniu jakiegoś niemieckiego oddziału, udało nam się galopem przeskoczyć szczęśliwie szosę. Bez dalszych już prze-

szkód wieczorem dotarliśmy do Łopiennika. Zaraz zgłosiłem się ochotniczo na całonocną wartę.

Nocą, cały wschodni nieboskłon pełen był rozbłysków i łun, słyhać już było wyraźnie artylerię – najwidoczniej sowieci podchodzili pod Lublin. Później zagłuszyła wszystko burza z piorunami. Pierwszy raz w życiu przeżywałem coś takiego nocą pod gołym niebem. Rozumując, że karabin, którego nie mogłem się przecież pozbyć, może stać się piorunochronem, kryłem się nierozsądnie pod drzewami. Od tej lipcowej nocy najgorsze grzmoty i błyskawice nie robią na mnie najmniejszego wrażenia, ale pod drzewa już się nie chowam. Po warcie pospałem nieco, a później zabrałem się do czyszczenia broni.

Robiliśmy to zwykle w stojącej na uboczu dworskiej kuźni, którą jako kowal rządził komendant. Była pępkiem naszej konspiracyjnej placówki. W tym czasie komendant z pomocnikiem przeglądali w gumnie żniwiarkę i byłem sam. Po wyczyszczeniu złożyłem karabin i miałem go zanieść do skrytki w stodole, gdy niespodziewanie pod kuźnię zajechała bryczka pełna Niemców. W pierwszym odruchu wrzuciłem karabin do pełnego brudnej wody koryta służącego do hartowania osi i obręczy, później złapałem młotek i jak gdyby nigdy nic zapamiętałem waliłem nim w jakieś przypadkowe żelastwo. Z bryczki wygramolił się tymczasem oficer w eleganckich bryczesach i ruszył w kierunku kuźni. Przed samą kuźnią sięgnął ręką ... ale szczęśliwie nie do kabury po pistolet, lecz za stojącym przy kuźni krzakiem czarnego bzu, ulżył sobie. Mnie też ulżyło, tyle że na sucho, gdy oficer gramolił się z powrotem na bryczkę. Później, gdy zauważyłem rzucający się w oczy, wystający prowokacyjnie z koryta karabinowy pas nośny, złapał mnie paroksyzm śmiechu. Przeszedł zaraz, gdy pomyślałem, że czeka mnie ponowne czyszczenie broni.

Wszystko to trwało moment i nawet nie bardzo zdążyłem się wystraszyć. Nieproszeni goście zapytali tylko kogoś o drogę i już nie było po nich śladu. Nota bene byli to ostatni umundurowani, uzbrojeni i żywi przedstawiciele Wehrmachtu, jakich przyszło mi w życiu oglądać.

Dalsza część dnia była pełna napięcia. Od strony Niedrzwicy i Wilkołazu słyhać już było wyraźnie artylerię, a nawet broń maszynową i widać było dymy pożarów. Stronami przemieszczały się zawsze niebezpieczne konwoje uzbrojonych Ukraińców. Byliśmy więc w stałym pogotowiu i dwukrotnie uczestniczyliśmy bez sukcesów w tropieniu jakichś maruderów. Następnego dnia rano nadeszła wiadomość, że sowieci zajęli Lublin, a resztki Niemców wycofują się w pośpiechu za Wisłę.

W południe odbyło się u nas uroczyste ogłoszenie wyzwolenia spod okupacji niemieckiej. Na balkonie dworu pojawiła się biało-czerwona flaga, a na podjeździe została zarządzona wspólna zbiórka łopiennickiego „wojska” – dworskich bechowców i wsiowych akowców, łącznie ponad czterdziestu chłopów częściowo tylko uzbrojonych. Na komendę „Baczość”, przez otwarte okna popłynęły tony Mazurka Dąbrowskiego. Grała go na fortepianie kuzynka, p. Maria Bielon, której mąż – rotmistrz WP został zamordowany w Starobielsku, a ona sama zginęła kilka tygodni później w powstaniu warszawskim. Podniosłą uroczystość zakończyło krótkie wystąpienie ojca. Ja również miałem tego dnia swoje prywatne święto – rocznicę urodzin, 26 lipca – na Anny kończyłem szesnaście lat, tyle że wszyscy z jubilatami łącznie o niej zapomnieli. Po południu moja siostra Izabella - sanitariuszka i łączniczka AK (później WiN), wracając polną ścieżką z Kolonii Kępskiej przyłapała po drodze dwóch podejrzanych drabów i przyprowadziła ich „pod bronią” do dworu.

Napisałem w cudzysłowie, bo jej uzbrojenie stanowił mały damski rewolwer walther kalibru 5,35 – więc bardziej breloczek niż broń. Nie mogliśmy się nadziwić odwadze tej osiemnastoletniej dziewczyny, jako że doprowadzeni okazali się przebranymi w cywilne ubrania żołnierzami niemieckimi. W Borzechowie byli już sowietci i to właśnie im komendant postanowił przekazać jeńców. Konwojowali ich tam pod bronią nasi z placówki. Wrócili zbulwersowani, bo sowietci nie patyczkowali się i zanim podwoda ruszyła w drogę powrotną, wyprowadzili Niemców za stodołę i zastrzelili.

Nocą byłem ponownie ochotniczo na warcie. Na wschodzie panował już spokój i tylko od strony Urzędowa słychać było odgłosy artylerii. Z głębokiego snu po całonocnej warcie wyrwały mnie okrzyki, że sowietci są już w odległej o 1,5 kilometra Kępie. Pobiegliśmy tam. Istotnie w pobliżu większego stawu rozłożył się biwakiem mały oddziałek sowiecki przybyły na wielkim amerykańskim studebekerze. Właśnie „bojcy” w kociołku nad ogniskiem przygotowywali sobie posiłek. Składał się on ze „swinnoy tuszonki made in USA” i kępskich ziemniaków. Z ciekawością oglądaliśmy puszkę po „tuszonce”, na której wśród różnorodnych opisów widniał również i polski. Frontowcy byli sympatyczni, interesowali się naszymi opaskami na rękach i za mały damski zegarek chętnie odstąpili siostrze ociekający jeszcze fabrycznym smarem, nowiutki kawaleryjski karabinek „mosin” ze składanym „szykiem” (bagnetem). Później siedli na studebekera i gdzieś się ulotnili.

Po powrocie z Kępy dowiedziałem się, że odbyła się odprawa okolicznych komendantów placówek i jutro z ramienia Delegatury na Kraj Rządu RP w Londynie obsadzamy gminę w Chodlu. Mieliśmy zabrać całą broń, przygotować sobie

biało-czerwone opaski z napisem PKB i stawić się na koncentrację w Borowie odległym o kilka kilometrów od Chodla. Dobrze, że znalazła się wsypa od pierzyny o stosownym czerwonym kolorze, a Mama przy pomocy innych pań poszyła opaski i w ten sposób zostaliśmy umundurowani. Wyruszyliśmy skoro świt dwoma podwodami, było nas kilkunastu. Na wszelki wypadek jechaliśmy polnymi drogami, a broń została ukryta w wiązkach słomy służących za siedzenia. Miejscem koncentracji był młyn w Borowie, skąd mieliśmy przejść do położonego o kilka kilometrów Chodla. Po drodze zatrzymał nas silny patrol sowiecki. Zostaliśmy wylegitymowani. Ku naszemu wielkiemu zdziwieniu Mrok polecił nam przełożyć tak opaski, aby kolor czerwony znalazł się u góry – czyli do góry nogami. Okazało się, że tak absurdalny rozkaz wydał dowodzący patrolem oficer, zapewne politruk, warunkując dalszą naszą jazdę jego wykonaniem. Dla świętego spokoju komendant polecił go nam wykonać. Argumentacja oficera poparta kilkunastoma wycelowanymi w nas pepeszkami, polegała na tym, że kolor czerwony miał oznaczać robotniczą krew, a ta zawsze musiała być górą – „Wot i wsio!”. Ruszyliśmy w drogę ledwo powstrzymując się od śmiechu, a gdy patrol był po zasięgiem wzroku, założyliśmy opaski prawidłowo. Dalej nie było już nam do śmiechu. Na skraju lasu przylegającego z jednej strony do drogi, ukryte były stanowiska sowieckiej piechoty z działkami przeciwpancernymi i karabinami maszynowymi – była to po prostu autentyczna linia frontu. My zaś znajdowaliśmy się po tej wrogiej stronie, w najlepszym wypadku na ziemi niczyjej. Na dobitkę sowietci lojalnie ostrzegali nas okrzykami – „Ej partyzanty! Dalsze nieźlia, tam Giermańcy!” Jakoś jednak szczęśliwie, bez dalszych przygód dojechaliśmy do Borowa.

W Borowie, przy młynie na rzeczce Chodelce zastaliśmy zbierowisko okolicznych, częściowo tylko uzbrojonych PKB-owców i gapiów. Po pewnym czasie zjawiał się jakiś umundurowany porucznik i zrobił porządek. Posegregował nas na uzbrojonych i nieuzbrojonych – ja dołączyłem do tych drugich. Odliczyliśmy, padła komenda „Baczność!” i porucznik zameldował stan wojska ubranemu na czarno postawnemu cywilowi. Cywil, którego nazwiska i pseudonimu nie zapamiętałem, przedstawił się jako delegat lubelskiej delegatury Rządu Londyńskiego, powitał nas i oświadczył, że zaraz po wyjaśnieniu sytuacji ruszamy „oswobodzić” Chodel i obsadzić tamtejszy urząd gminy. Wkrótce zjawiał się goniec z Chodla i zameldował, że o świcie przemieszczała się opłotkami miasteczka silna niemiecka jednostka pancerna, ale aktualnie nie ma w nim żadnego wojska. Wymarsz opóźnił się o dobre pół godziny, bowiem delegat dostał od kogoś w prezencie nowiutkiego mausera i zapragnął go zaraz wypróbować. Ktoś usłużny podał mu widocznie jakiś „lewy” nabój, karabin nie tylko nie wypalił, ale jeszcze zagwoździł się. Później kilku fachowców na zmianę dłużyło różnymi drutami i patykami w lufie, ale bez rezultatu. Mnie też jakiś starszy już wiekiem partyzant obdarował karabinem mówiąc: „Ej rekrut! Potrzyjmy chwilę, musimy coś załatwić”. Padł rozkaz wymarszu, a właściciela pamiętającego chyba wojny napoleońskie jednostrzałowego mannlichera, ani widu ani słyhu. Zjawiał się po odbiór dopiero w Chodlu, nie mówiąc nawet „dziękuję” – no cóż byłem wszak rekrutem. Dodam jeszcze, że mannlicher miał dorobione topornie, wielkie łożę i był dlatego co najmniej dwa razy cięższy, niż powinien. W lipcowym upale, zlany potem i już „na miękkich nogach”, po 4-kilometrowym marszobiegu ledwo doniosłem go do Chodla.

Gdy wkroczyliśmy na rynek owacyjnie witani przez wyjątkowo zdziękowanych przez wojnę tamtejszych mieszkańców, właśnie ktoś zaczął mocować na budynku gminy wyszczerbioną, przedwojenną, emaliowaną tablicę urzędu gminnego i godło państwowe z koroną na głowie orła. Okazało się, że jednak nie nam przypadł zaszczyt „oswobodzenia” miasteczka. Zrobiła to poprzedniego dnia AK, była podobno nawet jakaś defilada. Obsadziliśmy więc gminę, przed którą została zaciągnięta warta, a na rogatkach stanęły posterunki alarmowe. Nieuzbrojeni, czyli i ja, zostali zagonieni do robienia porządków w budynku gminy i jego otoczeniu.

Zbierałem do worka poniewierające się wszędzie papiery i w pewnym momencie natrafiłem na kilka kompletnych kenkart z fotografiami, które widać nie doczekały się jeszcze odbioru. Oddałem je delegatowi. Później znalazłem parę niewypełnionych, ale już podpisanych i osteplowanych blankietów, te odruchowo wsadziłem do kieszeni. Do jednego z nich wkleiłem później swoją fotografię, sam nie wiem dlaczego, wypełniłem na nazwisko Małolepszy i popisywałem się przed kolegami posiadaniem fałszywki. Któżby przypuszczał, że po kilku miesiącach, nie tylko czyste blankiety, ale nawet moja „małolepsza” fałszywka przydadzą się bardzo kilku ukrywającym się akowcom i umożliwią im „legalny” powrót do życia cywilnego ze zmienionymi nazwiskami.

W południe odbyła się podniosła uroczystość – msza dziękczynna celebrowana przez ks. kanonika Biernackiego. Gdy w wypełnionej po brzegi farze rozbrzmiało potężne „Boże coś Polskę” – polały się łzy. Po mszy zrobiłem się głodny i już kierowałem się w stronę restauracji Niedziółki, gdy przywołał mnie delegat. „Weźcie od dowódcy warty jakiś karabin i zgłóście się do mnie” – powiedział. Dostałem znanego

mi dobrze mannlichera, bo na wartowni nic innego nie mieli. Gdy poprosiłem o amunicję, usłyszałem tylko: „Chłopie, chcesz żeby ci łeb rozwaliło, przecież z niego przez ostatnie sto lat nikt nie strzelał”.

Uzbrojony w taką przyciężką atrapę, ruszyłem za delegatem gdzieś na peryferia. Była tam do załatwienia ważka sprawa urzędowa – rozstrzygnięcie sporu między dwoma zwaśnionymi sąsiadkami o podział miejskiej obórki. Po wysłuchaniu stron i wykonaniu krokami stosownych pomiarów, delegat z braku kredy, polecił mi kawałkiem cegły zaznaczyć na ścianie oficjalną linię podziału. W ten sposób bez zbędnej biurokracji, została operatywnie załatwiona pierwsza urzędowa sprawa w wyzwolonym Chodlu. Później jedna ze stron zaprosiła nas na poczęstunek, ale delegat, wykazując wielką mądrość i troskę o autorytet urzędu, zaproszenia nie przyjął. A mnie tymczasem co raz bardziej kiszki marsza grały – byłem od świtu właściwie na czczo. W końcu jednak los zlitował się nade mną. Po powrocie do gminy czekało już na delegata zaproszenie na obiad, a on zabrał mnie ze sobą. Gospodarze okazali się bardzo gościnni, a obiad smaczny, obfity i zakrapiany nalewką na dobrym bimbrze, pochodzącym widocznie z własnego odpędu. Pod wieczór nieuzbrojeni zostali zwolnieni z obowiązkiem stawienia się w gminie następnego dnia rano. W dobrych humorach wracaliśmy grupką do domów. Na wysokości Ratoszyna dostrzegliśmy trzech młodych ludzi idących nam naprzeciw. Już z daleka widać było, że to chłopcy z lasu. Jednego z nich poznałem, był to sympatyczny podchorąży z któregoś z patroli Kedywu podległych „Zaporze”. Przystanęliśmy relacjonując jeden przez drugiego, co się działo w Chodlu, oni zaś tak jakoś dziwnie nam się przyglądali. Wreszcie znajomy odciągnął mnie na bok

i łamiącym się głosem powiedział: „Sowieci otoczyli, rozbroili i uwięzili na Majdanuku oddziały AK skoncentrowane pod Lublinem w ramach akcji »Burza«, oddział »Zapory« został już rozformowany, ci którzy mogli, wracają do domów a pozostali – tak jak właśnie my, udają się na meliny”. Byliśmy zszokowani.

Mimo tych złowróżbnych wieści, następnego dnia o wyznaczonej porze meldowaliśmy się w chodelskiej gminie. W miasteczku było już pełno sowietów i po drodze zostaliśmy przez nich dwukrotnie, bardzo dokładnie wylegitymowani. Na rynku, w bliskim sąsiedztwie gminy, instalowała się właśnie nowa władza – sowiecka „Wojenkomendantura” a wokół kręciło się pełno „bojców” w czapkach z malinowymi otokami i chabrowymi denkami. Wówczas nie wiedzieliśmy jeszcze, jaką złowrogą formację te barwy oznaczają. W miasteczku wyczuwało się napiętą atmosferę, a delegat ściągnął wszystkie posterunki i patrole oraz zabronił opuszczania budynku gminy. Po pewnym czasie przybył ktoś z Godowa – sąsiedniej gminy, obsadzonej również przez PKB-owców, z wiadomością, jakoby zostali oni już rozbrojeni. W tej sytuacji delegat polecił nieuzbrojonym rozejść się niepostrzeżenie do domów.

Wymknąłem się i opłotkami przeszedłem chyłkiem w kierunku mostu na Chodelce, przez który wiodła jedyna droga do Łopiennika. Z daleka zauważyłem, że przy moście jest już sowiecka roгатka, właśnie kogoś legitymują, obok stoi grupka najwidoczniej zatrzymanych ludzi. Zrobiło mi się „tyso”, ale powiedziałem sobie, że nie dam się sowieciarzom zgarnąć. Szybko wycofałem się i pozorując kąpiel, przedostałem się na drugi brzeg rzeczki. Tam, w sąsiadujących z nią ogródkach działkowych znalazłem jakieś wyszczerbione grabie, schowałem opaskę i furażerkę z porporczykiem, zakasałem nogawki spodni

i udając idącego do pracy w polu, ruszyłem w drogę. Środki ostrożności okazały się zbędne, bez przeszkód dotarłem do domu. Nocą powrócili pozostali nasi, udało się im nawet przemycić należąca do placówki broń, którą komendant postanowił ukryć.

Przyznam się, że wtedy nie bardzo zdałem sobie sprawy z fiaska moich młodzieńczych dążeń. Wydawało mi się, że stan obecny to coś nietrwałego i przemijającego. Stało się tak w istocie, ale

dopiero po 45-ciu latach. Tymczasem kończył się lipiec, z dnia na dzień przybywało sowieckich aresztowań, rekwizycji i zwykłych rabunków. Nie było już wątpliwości, że przy biernej postawie naszych zachodnich sojuszników mamy do czynienia z kolejną, tym razem stalinowską okupacją. Rodził się więc szybko opór Polaków, powstawała nowa zbrojna konspiracja, ale zgodnie z tytułem, o tym może kiedyś, innym już razem.